

Zamyślenia



Poeta jest bezradny

Jerzy Horodyński (1919-1998)

„Posuń się trochę, prozo.
Zrób miejsce dla poezji”.

Anna Bryszewska

Czy poeta rzeczywiście bywa bezradny? Jerzy Horodyński mówił o sobie: „Kocham życie i jestem wrogiem samoudręki”. A zatem nie wierzył w sens cierpienia, jak wierzy większość ludzi pióra. Niewątpliwie wiedział, że życie składa się w przeważającej części z różnych plag, ale uważał, iż należy je przewyciężać właśnie w sztuce, jak człowiek wierzący przewycięża w religii”. A przecież miał za sobą parę lat ciężkiego więzienia za AK i obóz w syberyjskich łagrach. „Byłem torturowany i umierałem z głodu”, wyznaje.

KAZIMIERZ IVOSSE

Wiedział, że człowiek jest zdolny do wszystkiego. Jak wyznał kiedyś w wywiadzie z Kazimierzem Kanią („Rozmowy pod Wawelem”), z tych życiowych doświadczeń obcnałem jedynie kupony w poezji, uogólniając zjawiska i sprowadzając je do wieloznacznych refleksji, czy dalszych poszukiwań. I to wszystko nie zabiło we mnie wiary w życie, a przeciwnie, ją umocniło. A zatem jako poeta nie był bezradny, jednocześnie zauważając w imieniu wszystkich poetów, że „nad losem świata i przyszłością człowieka winni rozmyślać filozofowie, astrologowie i socjologowie, zaś poeta może jedynie rejestrować własne wizje i przeczucia bez pretensji do nieomyślności”. Mimo takiego stanowiska Horodyński wiedział, że przyszło nam żyć już w schyłkowej fazie naszej cywilizacji ziemskiej i nie był pewny tego, co też po niej nastąpi. Pisał: „Tu, w Rzymie, czuję, że to już ostatnia Attyka, którą w najlepszym wypadku zaleją barbarzyńcy. A może się zdarzyć, że już nic nie nastąpi...”. Jak każdy z nas przeżywał wewnętrzne niepokoje metafizyczne. Napisze: „Płynę ze swoją

poezją do śmierci”. Był poetą głębokiej wiary, która mu jednak nie pomagała. Nie pragnął być jakimś koryfeuszem ludzkości, czy też wieszczem narodowym. Poezja dla niego była sztuką kameralną „ku radości dystrybutorów papieru”. Uważał, że „wiersze czytają wyłącznie sami poeci”. Pisała kiedyś Anna Kamińska: „Sromotny stan kultury literackiej w Polsce. Uczony matematyk, profesor uniwersytetu chwali się, że nie rozumie poezji współczesnej”. „Dla Jerzego poezja to wieczne błędzenie niepewności i niepokoju. To neurastenia, która raczej utrudnia życie i nie pomaga żyć”. Poeta emigracyjny... mało się mówi i pisze o takich poetach zagubionych na drugim, obcym brzegu. Jedynie ma to miejsce po ich śmierci. Jerzy wiele lat spędził w Rzymie, otoczony gronem zasłuchanych w jego poezji przyjaciół, w tym wielu włoskich artystów. Był fascynującym gawędziarzem. Jeżeli powracał do Polski to niezbyt często i dopiero po transformacji ustrojowej. Miał na Krupniczej w Krakowie „kołchozowe” mieszkanie. Uciekał do Ojcowa i do Zakopanego. Odwiedzał też swoje rodzinne miasto Jarosław, gdzie urodził się 18 października 1919 roku. Mój wielki i wspaniały mistrz poetyckiego słowa, szczególnie opiewający piękno Bieszczad. Jarosław, to było miejsce jego ukochanych »kresów«. W roku, 1961 „uciekł” na Zachód, oficjalnie niby na stypendium twórcze, skąd tęsknił do Polski aż do lat 90-tych, kiedy pierwszy raz przyjechał. Nie spotkaliśmy się, gdyż i ja byłem na emigracji przez długich 21 lat. Jerzy nosił w sobie piętno osobistych przeżyć jako zesłaniec do łagrów. W wierszu „Testament” napisał: „Odchodzą od nas żywi i umarli / nie wiem już kto przerażał, / a który zachwycał, / nie rozróżniam lotrów i godnych wdzięczności, / przebaczyłem miejscu urodzenia”.



Rys. Kazimierz Ivosse

Jerzy Horodyński

Zmarł 19 czerwca 1998 roku. Miał godne pożegnanie w kościele św. Stanisława, polskim kościele w Rzymie. Mszy św. prze-

wodniczył abp Szczepan Wesoły, duszpasterz środowisk emigracyjnych na Zachodzie. Spoczywa w polskiej kwaterze cmentarza Cimitero Flaminio na Prima Porta.

Tam, na emigracji, mało kto czytał jego wiersze. Wielu po raz pierwszy usłyszało je w dniu pogrzebu. Bo być poetą, to żmudne wyrąbywanie chodnika, jak w kopalni, w całkowitej ciemności, pod ziemią. Poezja – twarde bryły mroku...



Jerzy Horodyński

Porównanie

Wśród innych gór uczyłem się wierszy, które dopiero miały mnie nawiedzić. Szczyt naprzeciw domu zaglądał do nieba, nikt nie wiedział dlaczego nazywa się Owidiusz – czyżby tam się zabłąkał wygnany poeta? Huculi na trombitach podnosili chmury, w dole Czeremosz zmuszał tratwy do galopu.

Niewiele więcej pamiętają zdjęcia, które pozwolił mi zachować czas, abym wierzył, że naprawdę minął.

Rehabilitacja

Nie będę nudził, stroszył się jak paw, w rękę potrzasał palmą męczeństwa, nie będę pisał o sowieckich tułaczach i nie będę wspominał – przekląłem na zawsze.

Niech inni mszczą się językiem i piórem. Prawie nikogo już to nie obchodzi. Nie chcę zapełniać domu upiorami i żyć powtórnie w rozstrzelanym czasie. Wystarczy, że codziennie budzę się o piątej, w snach biegnę na apel, drzę przed egzekucją.

W Wielki Piątek roku czterdziestego piątego stanął mój zegar i dotąd utyka. Data skłaniała do śmiałych skojarzeń, lecz Mesjasza nie było, zjawił się tylko kat. Niewiele brakowało, bym poczuł się winny istnienia. Cztery lata czekały na mój powrót. Wróciłem z piętnem zbrodni, która zwie się Polska.

Pół wieku przeszło, zanim nadeszło ze Lwowa obwieszczenie, że jestem niewinny i że władza gotowa nawet coś tam zwrócić.